

Josef Mörsdorf

„AUGUST FROEHLICH. PROBOSZCZ Z RATHENOW”

Wydawnictwo Morus, Berlin 1947

CEL ŻYCIA

Proboszcz August Froehlich wywodził się z szanowanej rodziny kupieckiej zamieszkałej w Królewskiej Hucie (Chorzowie) na Górnym Śląsku. Urodził się 26 stycznia 1891, jako drugie z sześciorga dzieci. Jego życiowym celem już od najmłodszych lat było zostanie duchownym; ale to pragnienie spełniło się dopiero, gdy miał on trzydzieści lat. Potrzebował wiele czasu, aby ukończyć gimnazjum w Legnicy, podjęte studia zostały przerwane przez długi okres służby w wojsku, do którego został powołany tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Tak więc stał się on najpierw żołnierzem i oficerem, zanim spełniło się jego marzenie o zostaniu księdzem.

Od młodych lat August Froehlich podchodził do życia w sposób bardzo poważny. Nie był on wzorowym, grzecznym dzieckiem, a tym bardziej nie był wzorowym uczniem. Temu niezbyt zdolnemu chłopcu nauka przychodziła z trudem. Pół żartem, pół serio powiedział kiedyś, nakłaniany przez dzieci, że w swoim życiu, co najmniej siedem razy nie zdał egzaminów. Ale im ciężiej przychodziła mu nauka, tym bardziej był pilny i gorliwie dążył do osiągnięcia upragnionego celu. Przy tym, nie będąc nadmiernie bojaźliwym, przejawiał dużą wrażliwość sumienia. Już jako uczeń wołał pogodzić się z porażką, aniżeli zapewnić sobie niezасłużoną korzyść zdobytą niesprawiedliwie czy nieuczciwie.

To, co tracił poprzez przeciętne zdolności, osiągał przy pomocy wyćwiczonych, osiągniętych silną wolą umiejętności, które oczywiście mogły prowadzić do przesadzonego poczucia ważności i siły woli, a nawet do uporu i wywoływać gniew. Froehlich nie był więc dla swoich nauczycieli

łatwo przyjmującym wiedzę uczniem. Ponieważ jednak nie cechowała go przy tym złośliwość, musiał przy tym przez całe życie zwalczać drzemiące w jego sile woli słabości, aby móc je okiełznać. Jak bardzo musiał z nimi walczyć, wskazują zapiski, które zachowały się z czasów jego studiów. Odślania w nich bezwzględnie swoje błędy:

"Jak głupio jestem popędliwy, przechodząc przy tym od niechęci ku gniewowi. Jaki jestem próżny i zarozumiały, tak też skryty, że boję się, wkrótce popaść w grubiaństwo. Jak często jestem niedbały w modlitwie, w skupieniu i rozważaniach, ja, teolog! Jak niedbale obchodzę się z cennym czasem!"

W notatkach zapisał swoje postanowienie:

Str. 18

"Nie mów nigdy dobrze o sobie samym. Kiedy chcesz mówić dobrze o sobie, mów to tak, jakbyś mówił o kimś innym. Nie mów także nigdy źle o sobie samym. Albo nikt nie będzie ci wierzył, albo będą cię mieli za osobę przejawiającą pełną samozadowolenia pokorę.

Kim jesteś w rzeczywistości, wkrótce wyjawią twoja twarz, twoje usta i twoje czyny.

Bądź raczej nieprzenikliwym pancierzem niż ciężko raniącą strzałą. Nie obrażaj nikogo! Cierp raczej, jeżeli dzięki temu możesz ochronić duszę osoby bliskiej przed skalaniem kolejnym grzechem. Zważ przy tym, że ty również na pewno popadasz w grzech, gdy za wyrządzone krzywdy odpłacasz tą samą monetą, rzekomo, aby ukarać przeciwnika, w rzeczywistości jednak, aby się zemścić się zadowolając w ten sposób swoją próżność. Chwal zawsze, kiedy nie zaszkodzisz, nie gań nigdy, gdy nie poprawiasz. Doskonal się, troszcz się o siebie samego. Dzięki temu staniesz się najlepszym nauczycielem, pomiędzy wszystkimi."

I modli się:

"Mój ukochany, dobry Boże! Wierzę w Ciebie, w Tobie pokładam nadzieję, kocham Cię. Wiesz przecież Boże, jak często jestem niedowiarkiem, pozbawionym nadziei i miłości. Mój Zbawicielu, pomóż mi! Mam tak wiele wad, wielu z nich jestem świadomy. Moje postanowienia są liczne, a tak słaba jest moja wola, aby je zrealizować. Mój Panie i Boże. Modlę się o to, błagam Cię i pukam do Twoich drzwi, tak cicho i tak łagodnie, tak silnie i tak mocno, pomóż mi!"

Jakże często zdarza się, że w ludziach o „grubej skórze” bije nadzwyczaj poczciwe, współczujące i serdeczne serce, tak było również w przypadku Augusta Froehlich. Już jako student rozumiał jasno życiową mądrość: „ciągła, gorąca miłość rozgrzewa również najzimniejsze serca!”. Swoje życie kształtował zgodnie z tą zasadą, polecał naśladować taki sposób życia. Dzieło miłości jako najwyższy cel i największą treść życia uświadamiał szczególnie dorastającym młodym dziewczętom. W albumach swoich uczennic wpisywał chętnie, dla pamięci i zważania w życiu na zasadę miłości, następującą maksymę:

„Tu miłe słowo, tam przyjacielskie spojrzenie, a tam znów miły uczynek, choćby tylko uściśnięcie ręki. Od czasu do czasu przelknięta przykrość, zniewaga: jeżeli ćwiczysz to codziennie, będziesz dla ludzi jak małe słońce i Bóg, ukochany anioł.”

Uczeń August dojrzywał, z czasem stał się mężczyzną, którego wysoki wzrost i prosty chód czyniły z niego osobę o słusznej posturze. Napięte, wyraziste rysy pozwalały widzieć w nim człowieka o rozpoznawalnej powierzchowności. Surowość jego wyglądu łagodziła bijąca od niego wewnętrzna pogoda ducha, szczególnie, że przy całej powadze życia, nazwisko Froehlich było dla niego przedmiotem dumy. Jego koledzy szkolni opisują go jako człowieka otwartego, naturalnego, pogodzonego z życiem i odważnego.

Str. 19

Wraz ze świadomym wykonywaniem trudnej pracy, rosła w nim nadzieja, że sprosta wysokim wymaganiom swojego zawodu. Widział bliskość celu swoich pragnień. Tylko niewiele miesięcy dzieliło go jeszcze od przyjęcia święceń kapłańskich. Wybuch pierwszej wojny światowej przekreślił te plany, a Froehlich został żołnierzem.

W boskim pojęciu, młodemu teologowi mogło jeszcze brakować tego, aby być sługą bożym w proroczym sensie tego słowa. Burzy i naporowi jego młodzieńczej męskiej siły brakowało jeszcze dojrzałości i zrównoważenia charakterystycznego dla doświadczonego i dorosłego mężczyzny. Tak, więc Bóg zabrał go do surowej i długoletniej szkoły, w której jego własną wolę zastąpiło posłuszeństwo, jego dążenie, aby być kimś zastąpiło podporządkowanie, jego

gwałtowność zastąpił rygor i powściągliwość, jego odwaga ustąpiła miejsca ostrożności i rozsądkowi, jego zapał zmienił się w wytrwałość, jego budzący się od czasu do czasu gniew i niechęć ustąpiły równowadze, a jego skłonność do samodzielnego życia została poskromiona przez przymus do żołnierskiej wspólnoty. Młodemu studentowi teologii nie sprawiło to na pewno radości, gdy w Wigilię Świąt Bożego Narodzenia 1914 roku otrzymał jako podarunek gwiazdkowy kartę powołania do wojska. Został przydzielony do Pierwszego Regimentu Grenadierów Cesarza Aleksandra i otrzymał swoje podstawowe przeszkolenie wojskowe w Berlinie. Bycie żołnierzem przychodziło mu z niezwykle trudem. Różnica między seminarium kapłańskim a koszarami była zbyt rażąca. W dodatku, jako tzw. „jednoroczny” i katolicki student teologii, był szczególnie ostro traktowany. Monotonia życia koszarowego, musztra i szykany w okresie szkolenia, ogólna atmosfera i ton tego środowiska budziły w nim wewnętrzne uczucie odrazy. Berliński okres bycia rekrutem przyniósł mu jedną korzyść - poznał miejsca swojej późniejszej działalności, a podczas rozległych marszów poznał też znaczną część berlińskiej Diaspory.

W czerwcu 1915 młody żołnierz trafił na front wschodni i już w pierwszych bojach 3 lipca odniósł ciężkie rany. Po wyzdrowieniu został wysłany na front zachodni, brał tam udział w walkach prawie do końca wojny. Wiosną 1918 r. został awansowany na stopień podporucznika. Podczas ataku lotniczego został drugi raz ranny i trafił do angielskiego obozu jenieckiego, z którego powrócił do domu dopiero w rok po zakończeniu wojny.

Po pięcioletniej przerwie w studiach spowodowanej życiem żołnierskim, Froehlich potrzebował okresu przerwy, aby przezwyciężyć przeżycia wojenne. Czy powinien być, czy mógłby, czy miał prawo, aby zostać kapłanem? Gdy był żołnierzem stale czuł się i zachowywał jak teolog. Miał wtedy często okazję, w chwilach największego niebezpieczeństwa lub w Świeta Bożego Narodzenia, kiedy jego towarzysze byli szczególnie przystępni, wpływać na oficerów i drużynę za pomocą przykładu i słowa i ubogacać ich religijnie.

Str. 20

Także teraz znowu czuł w sobie głos Boga i słuchał go tym chętniej, szczególnie, po wstrząsie,

jaki spowodowała u niego śmierć ukochanej matki, która zmarła na krótko przed jego powrotem z wojny do domu. Jesienią roku 1920 powrócił do Alumnatu we Wrocławiu i 19 czerwca 1921 roku August Froehlich otrzymał święcenia kapłańskie.

Str. 21

OKRES KAPLAŃSTWA W BERLINIE

Okres kapłańskiej działalności Froehlicha przypada na okres pomiędzy dwiema wojnami światowymi. Był to czas politycznego napięcia, zmian społecznych, kryzysu gospodarczego i okres najgłębszych potrzeb religijnych. Jego 21-letnia działalność kapłańska dzieli się na czas działalności jako wikarego w wielu gminach okręgu Wielkiego Berlina i jego pracę duszpasterską jako duchownego Diaspory, najpierw w charakterze Rektora Kościoła w Dramburgu (Drawsku Pomorskim), a potem jako proboszcza z Rathenow w Diasporze Brandenburskiej. Punkt ciężkości jego działalności leżał w Diasporze. Istota jego późniejszego rozwoju była widoczna już w okresie nauczania i wędrówki podczas lat wikariatu.

Wielce zaskoczony był nowo wyświęcony kapłan Froehlich, gdy po uroczystości jego Pierwszej Mszy w rodzinnej parafii Św. Barbary w Königshütte (Chorzowie) został powołany Dekretem z 1 września 1921 r. do pracy w Parafii Św. Edwarda w Berlinie Neuköln. Młody wikary rozpoczął swoją służbę w parafii niosąc radosny zapał, pragnąc, aby na każdy sposób odciążyć proboszcza. Przejął chętnie odwiedzanie chorych i udzielanie ostatniego namaszczenia, a także poświęcał się pracy związkowej. Największą radość jednak sprawiała mu praca w szkole. Lekcje religii księdza Froehlicha była dla dzieci zawsze przeżyciem, ponieważ okraszał on głoszoną naukę wesołymi opowieściami.

To początkowo dobre porozumienie z proboszczem, z czasem pogorszyło się. Proboszcz nie zgadzał się w całości przede wszystkim z działalnością kaznodziejską swojego księdza, sądził, że

Froehlich zbyt wiele opowiadał, a w jego opowieściach było zbyt mało elementów kazania. Froehlich nie dawał się w tym temacie pouczać i odwoływał się do przykładu Zbawiciela. Ta różnica poglądów doprowadziła w końcu do przeniesienia Froehlicha do sąsiedniej, większej parafii św. Bonifacego. Tam poświęcił się przed wszystkim wychowaniu młodzieży męskiej. Rozumiał, że musi zmusić chłopców do uwagi i trzymać ich w dyscyplinie. Zajął się całkowicie duszpasterstwem młodzieży i poświęcał nawet swój urlop, aby udać się z młodzieżą na wycieczkę.

6 lutego 1928 wikary Froehlich został przeniesiony do parafii Najświętszej Marii Panny w Spandau, a w dzień Wszystkich Świętych 1929 r. objął swoje czwarte i ostatnie miejsce posługi kapłańskiej w parafii Św. Tomasza w Charlottenburgu. Pod opieką tamtejszego proboszcza, Kanonika Kusche od Serca Jezusowego w Charlottenburgu, stał się, dzięki licznym próbom i dyskusjom, dojrzałym wikarym, pozostającym w idealnej zgodzie z proboszczem. Ich dobre wzajemne stosunki polegały na zrozumieniu i wzajemnym szacunku, które obydwaj sobie okazywali, co skutkowało współpracą pełną wzajemnego zadowolenia i sukcesów.

Str. 22

Obok wielu zadań berlińskiego duszpasterstwa, Froehlich żywo interesował się życiem publicznym. Zaangażował się w prasę katolicką, rozprawdzał pisma i broszury, a dzięki swojej działalności agitacyjnej poszerzył krąg czytelników czasopism kościelnych „Markische Volkszeitung” i „Germania”. Troszczył się również o problematykę polityczną i czasowo objął posadę przewodniczącego związku centrowego. Od początku z góry odrzucał narodowy socjalizm, był zagorzałym wrogiem każdego rodzaju narodowo socjalistycznych tendencji, tak samo wówczas, gdy one się pojawiały i rozprzestrzeniały.

Ponad wszystkim jednak stał dla niego apostołat miłości bliźniego, który on w doskonały sposób sam praktycznie realizował. Jeszcze dzisiaj ludzie opowiadają sobie w gminach o wspianych rzeczach, które młody ksiądz dokonywał w czasach wielkiego ubóstwa gospodarczego, podczas inflacji. Rozdawał duże ilości mąki z młyna swojego ojca. Pewnego razu miał kazać nawet ubić tłustego prosiaka, aby jego mięso rozdzielić wśród biednych. Ale wiedział także jak zdobyć inne

artykuły codziennej potrzeby, takie jak kapustę, ziemniaki, kielbasę, materiały i ubrania - wówczas pożądane artykuły deficytowe. Miał również zwyczaj rezygnować ze swojego obiadu, aby go regularnie oddawać osobom biednym. Dla wszystkich ksiądz Froehlich miał współczujące serce i stale szczodłą rękę, szczególnie dla niedożywionych i nędznie ubranych dzieci. Nie szczędził wysiłku i ofiarności, aby wysłać dzieci na wakacje. Serdecznie zajmował się dziećmi idącymi do pierwszej komunii św., dbając o ich odzież i wyposażenie. Rejestr swoich przychodów i wydatków prowadził bardzo skrupulatnie, tak jak przystało na syna kupca. W jego notatniku, pod datą październik 1924 r. widnieją się następujące zapiski:

„Przychody:

Zapłata za pracę w szkole...49,15 Marek Rzeszy Niemieckiej (RM)

Wyplata ... 193,42 RM

Stypendia...86,- RM

Wydatki:

Oprócz kwot na własne utrzymanie

Dla rodziny J. ... 40,- RM

Dla rodziny H ...40,- RM

Dla rodziny G ...10,- RM

Str. 23

Na biednych.....19,- RM

Dla rodziny B.... 20,- RM

Na biednych... 10,-RM

Na cygara... 3,90 RM

Podobne wydatki powtarzały się co miesiąc.

August Froehlich był obdarzony dużym poczuciem humoru i opowiadał wesołe przypadki i żarty słuchającym go w napięciu osobom, najczęściej będące własnymi przeżyciami. Ale często ogarniały go też gorzkie refleksje i przygnębienie. Wówczas uciekał się do Zbawiciela, który dał

nam słowa pociechy:

"Przyjdźcie do mnie, którzy jesteście strapieni i przygnębieni, ja was pokrzepię". Dużym obciążeniem było dla niego to, że pomimo dużego wysiłku z jego strony, nie czuł się do końca rozumiany. Udawał się wówczas chętnie do grobu towarzysza niedoli, ojca Eduarda Mullera. Grób ten ozdobiony był rzeźbą najbardziej niezrozumianego na tej ziemi. Ta postać Zbawiciela, wyrzeźbiona z twardego marmuru sprawiała, że zaczynał rozumieć: niedola ludzi jest młotem boskim, którym on wykuwa ludzi na swój obraz i podobieństwo, a więc formuje ich na obraz i podobieństwo Chrystusa. Gdy później, w jego przypadku, ten boski młot uderzał, wtedy ta myśl często w nim odżywała.

Froehlich nie mógł znieść nieszczerości, począwszy od kłamstwa i obłudy, do przebiegłości i podstępności. Przeciwno temu wzdragała się jego prawa i szczerą naturą, co sprawiała, że potrafił być również grubiański. Jego wyprostowana postawa ciała i chód sprawiający wrażenie sztywnego, były zewnętrznymi oznakami jego wewnętrznej prostolinijnej, ale również nieustępliwej postawy. Jeżeli coś raz postanowił, ciężko było go odwieść od tego zamiaru. Wiele nieporozumień i napięć, na które narażał się Froehlich w czasie swojej pracy wikarego, nie było skutkiem niewyjaśnionej albo nieprzemyślanej własnej woli, ale były one związane z jego cechą, polegającą na nieuleganiu skłonnościom do manipulacji. Brakowało mu umiejętności przystosowania się do powszechnych kanonów i pomimo wielu doświadczeń życiowych, często również wystarczającego zrozumienia różnych sytuacji, co umożliwiałyby mu w prosty sposób pokonywać pojawiające się trudności. Gdyby posiadał te umiejętności, mógłby zaoszczędzić sobie wielu gorzkich doświadczeń życiowych.

Poza wszelką wątpliwością stała zawsze jego szczerą gorliwość. Czego zbywało mu, jeżeli chodzi o talent intelektualny, zastępował dobrymi chęciami. Jego kazania były proste, jego wykłady nie były dziełami, ale były skuteczne. W trakcie rozmowy stawiał pytania dotyczące życia i w przykładach z życia szukał na nie odpowiedzi. Jego kazania i sposób prowadzenia lekcji dla uczniów były w swojej sugestywności zarówno łatwo zrozumiałe jak i porywające. Do wiernych, którzy na początku kazania chcieli opuszczać kościół, wołał: „Pozostańcie, to nie trwa długo.”

Do jego ulubionych zajęć należało, już w okresie jego kapłaństwa, objęcie opieką dzieci, aby wspierać je duchowo i przygotowywać do nauki w gimnazjum. Ponieważ kiedyś sam miał trudności w przyswojeniu poszczególnych dziedzin wiedzy, tym bardziej rozumiał trudności dzieci i mógł im pomagać w pokonywaniu problemów z nauką. Z zamiłowaniem nauczał łaciny i greki, a te działania określał żartobliwie jako aplikowanie zastrzyku łaciny lub greki. Był przy tym na tyle uczciwy, że przyznawał się do tego, że taką „strzykawkę” wiedzy musiał najpierw sam zawsze napelnić.

Pierwsze samodzielne stanowisko miejscowego wikarego otrzymał Froehlich w dniu 1 kwietnia 1931 r. w parafii Św. Josepha w Rudow. Miał już wówczas 40 lat i od dawna tęsknił do tego, aby otrzymać „wolną rękę”. Pierwsze próby kapłańskiej samodzielności nie wypadły pomyślnie. Wskutek poróżnienia z chórem kościelnym¹ zgłosił się wkrótce dobrowolnie do pierwszej posiadającej wolny etat wspólnoty w Diasporze i 1 lipca 1932 r. objął wikariat w Drawsku na Pomorzu.

Str. 25

WIKARIUSZ Z DRAWSKA

Pierwszy wpis Froehlicha do kroniki parafii w Drawsku brzmi:

"Przyszedłem 1.lipca 1932 na front Pana Boga do Diaspory w Drawsku na Pomorzu. Nikt nie starał się objąć tego miejsca. Przyszedłem tu zmuszony nagłą koniecznością i pocieszałem się: „Komu Bóg chce okazać prawdziwą łaskę, posyła go w szeroki świat”. Społeczność Drawska

¹ W kronice kościelnej parafii Św. Josepha szczegółowo opisano to zdarzenie, Chór kościelny w Berlinie - Britz przysparzał Froehlichowi trosk z powodu narodowosocjalistycznego nastawienia, Froehlich miał wrażenie, że było w nim mniej chóru kościelnego a więcej organizacji politycznej, rozwiązał ten chór za pozwoleniem archiprezbitera Dominikusa Metznera ze Św. Eduarda, w Berlinie Neukolln. Następnie dyrygent chóru poskarżył się w Ordynariacie biskupim, skąd ponownie skierowano zapytanie do archiprezbitera Metznera. Ten nie przyznał się jednak do udzielenia zgody na rozwiązanie chóru. To zdarzenie skłoniło wikarego Augusta Froehlicha do skierowania prośby do Wikariusza Generalnego o przeniesienie na jakiegokolwiek wolne miejsce, W ten sposób od 1 lipca został przeniesiony jako wikariusz do Drawska na Pomorzu (www.st-joseph-berlin.de/Kirche.Chronik & [Archiv/Chronik!1930.htm](http://www.st-joseph-berlin.de/Archiv/Chronik!1930.htm))

przyjęła mnie miło i sympatycznie"

Wikariat Drawski obejmował wówczas przy 30.000 wyznawców innej wiary, około 600 katolików. Tylko 35 z nich mieszkało w Drawsku, pozostali mieszkali w promieniu 80 km, rozrzućeni i podzieleni w wielu małych miasteczkach, wsiach i zagrodach. Obszar działania, który oczekiwał nowego wikariusza był, więc wyjątkowo rozległy. Istniejące oddziały w Łobezie i Połczynie, które należały do Świdwina, zostały przekazane do Drawska, ze względu na konieczność odciążenia tamtejszego archiprezbitera, który był już w podeszłym wieku. Froehlich sprawował też nabożeństwa w Złocięcu, Wierzchowie i Węgorzynie. Do praktycznego prowadzenia duszpasterstwa na tych terenach, Froehlich kupił sobie nowoczesny samochód marki BMW, który nazwał swoim „kapłanem”. Tym „kapłanem” który, jak sądził, często robił lepsze wrażenie na wiernych niż on sam, robił miesięcznie przeciętnie 2.000 km. Wkrótce ten katolicki ksiądz i jego samochód byli szeroko znani w okolicy. Na zakurzonych drogach często czekali na niego dorośli i dzieci, aby zabrać się z nim do kościoła albo do szkoły. Wikary zapraszał do podwiezienia swoim samochodem również przypadkowych napotkanych ułomnych lub zmęczonych ludzi. Chętnie podejmował się, o ile to tylko było możliwe, załatwienia drobnych spraw, pilnych zleceń i innych dobrych uczynków. Obok sprawowania nowych nabożeństw, Froehlichowi szczególnie na sercu leżało nauczanie dzieci i ich przygotowanie do pierwszej komunii św. Do tego dochodziła troska o wielu biednych robotników rolnych jak również religijna opieka nad dziećmi pochodzącymi z katolickich okolic, wysyłanymi na wakacje na Pomorze.

Wraz z odnowieniem życia religijnego, ręka w rękę szło tworzenie nowego życia wspólnoty, którego punkt centralny stanowiła plebania. To sprawiało, że pod dachem nowego gospodarza było gwarno jak w ulu, gdzie wierni z bliska i daleka nie tylko przybywali i odchodzili, ale również znajdowali opiekę i miejsce pobytu.

Str. 26

Plebania służyła jako miejsce pobytu i zebrań, jako kawiarnia i jadalnia dla wielu, którzy przybywali z daleka, jako przytułek dla dzieci i miejsce komunikacji; stała się nawet swojego rodzaju miejscem pobytu dla osób, które wikary dopiero przyjął do Diaspory, aby wspierać ich w

zdobywaniu wiedzy.

Wkrótce po tym, gdy do władzy doszedł narodowy socjalizm, na drodze pracy duszpasterskiej wikarego z Drawska pojawiły się pierwsze trudności. Diaspora jest dla pasterza i trzody zawsze mocnym oparciem, a w czasie walki przeciwko kościołowi staje się rzeczywistym "frontem Pana Boga". Liczne ingerencje i przekraczanie kompetencji we wkraczaniu w kościelne życie, które podejmował narodowy socjalizm, mimo układów konkordatu państwowego, oddziaływały w Diasporze szczególnie radykalnie. Energia, z jaką wikary Froehlich zaczął budować nowe życie religijne wspólnoty stała się dla instancji partyjnych w Drawsku solą w oku.

Pierwszą okazję do sporów przyniosły publiczne zebrania narodowo-socjalistyczne. Aby móc utrzymać własne charytatywne działania, wikary Froehlich wyłączył się całkowicie z zebrań narodowych socjalistów. To doprowadziło do tego, że podczas zebrania partyjnego w styczniu 1934 r. został publicznie zaatakowany. Szef okręgowej organizacji NSDAP w Drawsku, Buntrock, napiętnował wikarego, mówiąc, że „pomimo zapewnionych dobrych poborów nie pozostawia nic dla głodnych i marznących ludzi” wskazał zebranym na zamknięte drzwi. Ta publiczna kompromitacja została przytoczona w gazecie codziennej.

Wikary Froehlich, jako urzędowy reprezentant katolickiego kościoła nie mógł tego zarzutu pozostawić bez odpowiedzi. Powołując się na konkordat, który chronił kościelne osoby urzędowe w równym stopniu jak urzędników państwowych, Froehlich zwrócił się pismem z 17 stycznia 1934 r. do Szefa okręgowej organizacji. Wyjaśnił w nim, że ze swoich dochodów i dóbr zrobił dla głodnych i marznących ludzi dużo więcej niż szef okręgowej organizacji i którykolwiek członek NSDAP w Drawsku, oraz że jest gotowy, przedstawić na to dowody. Napisał:

"Macie Panowie odwagę, kompromitować w tym względzie katolickiego kapłana, czy będziecie mieli również odwagę, kiedy na tym samym zebraniu przedstawię dowody na moje powyższe stwierdzenie? Jestem gotowy, aby publicznie bronić mojego honoru przed tymi samymi ludźmi."

Gdy szef miejscowej organizacji nie zareagował na jego pismo, a drugie pismo z 24 stycznia 1934 roku, w którym Froehlich udowodnił swoje wydatki na biednych, pozostawił bez odpowiedzi, wikary Froehlich przekazał wiadomość o zdarzeniu kierownictwu obwodu NSDAP

i przekazał dokładne wyjaśnienie o przeznaczeniu swoich zarobków i swojego niewielkiego prywatnego majątku.

Str. 27

Pod wpływem tego materiału dowodowego, kierownik obwodu Wolfermann ogłosił już następnego dnia, że szef organizacji okręgowej padł ofiarą godnej pożałowania pomyłki. Potwierdził, że „wikary w żadnym wypadku nie uchybił obowiązkom wobec cierpiących biedę rodaków, natomiast większość swojego dochodu oddawał do dyspozycji potrzebujących”.

Rzeczywiście, w żadnym wypadku nie można było zarzucić wikaremu Froehlichowi, że nie ma serca dla biednych.

Tak jak czynił już będąc księdzem w Berlinie, również teraz robił wszystko, co było możliwe, aby złagodzić biedę swoich bliźnich. Ograniczył nawet swoje osobiste potrzeby, aby móc w większym stopniu pomagać innym. Jego poprzednik i wieloletni sąsiad na Pomorzu, archidziekan Kunza opowiadał: "Proboszcz Froehlich był namiętnym palaczem. Na jednym z konwentów w Kołobrzegu opowiedział o swoim nagłym postanowieniu, że przez rok całkowicie zrezygnuje z palenia tytoniu. Jako powód podał: „Wiecie, ostatnio policzyłem jak wysoką sumę puszczam każdego miesiąca z dymem. Jak wiele dobrego mógłbym za to uczynić dla biednych! Wstydzę się za to i postanowiłem od tej chwili, że przestaję palić na okres jednego roku.” Wiedzieliśmy wszyscy, co oznacza dla Froehlicha ta ofiara. Złośliwie, jak to wówczas byliśmy, staraliśmy się doprowadzić do fiaska jego postanowienia. Proponowaliśmy mu najlepsze gatunki cygar, wmawialiśmy mu, że podarowane cygara nie niweczą jego postanowienia. Te wszystkie nasze starania nic nie przyniosły, pozostał nieugięty. Później, po upływie roku zrozumieliśmy, jak wielką ofiarą z jego strony było postanowienie, aby porzucając palenie tytoniu móc ofiarowywać biednym jeszcze więcej pomocy”.

Z tej strony nie można więc było podejść wikarego, więc znaleziono wkrótce inny pretekst. To było "Grüss Gott" (Szczęść Boże), pozdrowienie Froehlicha, które zostało zakwestionowane. Dla niego ta forma pozdrowienia była nie tylko grzecznościową formułą, ale równocześnie wyznaniem wiary, trzymał się jej tym bardziej mocno, im bardziej w życie wchodziło nowe

„niemieckie pozdrowienie”, które miało być nowym aktem wiary, a jednocześnie świadomie wypierać pozdrowienie chrześcijańskie.

Gdy grupa służby pracy państwowej w Połczynie absolutnie odrzuciła informacje przekazywane podczas nabożeństwa z powodu używanej przez Froehlich'a formy pozdrowienia i zażądała od niego zastosowania przepisowego i „jedynie słusznego” pozdrowienia hitlerowskiego, Froehlich, w wystosowanym w dniu 23 września 1935 r. piśmie, podał bliższe uzasadnienie dla stosowanej przez niego formy pozdrowienia. Pisał:

Str. 28

"Mogą Państwo być pewni, że w moim wieku, 44 lat, na pewnym poziomie mojego wykształcenia i wobec miłości ojczyzny, która jest religijnym obowiązkiem każdego katolika, jestem w pełni świadomy, co dzisiaj jest przepisem i co jest oczywiste. Proszę powstrzymać się od dalszych pouczeń dotyczących tego sposobu pozdrawiania. Pozdrawiam i kończę moje listy zwrotem „Grüss Gott” z następujących powodów:

1. Przy tych dzisiaj niestety napiętych stosunkach między kościołem i państwem niektórzy na pewno pokazywaliby mnie palcami i mówili, gdybym pozdrawiał ich „Heil Hitler”: patrzcie, co za koniunkturalista!

Jestem zbyt dumny, aby w ten sposób wejść do Państwa szeregów.

2. "Grüss Gott" jest dla chrześcijan, tak jak „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” dla katolików, starym niemieckim pozdrowieniem i jeszcze długo nie będzie znaczyć tego samego co „Heil Moskwa”. Bóg i Chrystus mają mieć w Trzeciej Rzeszy, która według słów Führera jest chrześcijańska, właściwy wydźwięk i znaczenie.

3. We wcześniejszym piśmie odrzucaliście Państwo informacje podczas nabożeństwa, ponieważ według Państwa, miał być w ten sposób wywierany nacisk. Proszę, uniknijcie Państwo również nacisku wywieranego w celu rozpowszechniania Waszego politycznego światopoglądu, tak jak Państwo oczekują tego ode mnie, uważając, że robię tak z moimi poglądami religijnymi. Polityczne i religijne światopoglądy uzyskuje się przez przekonania, a

nigdy przez naciski.

4. W Piśmie świętym mówi się: "Nie ten, który mówi do mnie Panie, Panie, wstąpi do królestwa niebieskiego, ale ten, który wypełnia wolę boską". Mam nadzieję, że znaczy to też: "Nie ten będzie obywatelem trzeciej Rzeszy, który mówi Heil, Heil, ale ten, który wypełnia wolę Führera". Mając za sobą on pięć lat służby żołnierskiej na froncie, czternastoletni staż jako kapłan, mam nadzieję, że uczyniłem dla mojej ojczyzny i moich bliźnich przynajmniej tak samo wiele jak Państwo. Tak, obawiam się, że musielibyście Państwo ze wstydem spuścić oczy, gdybyśmy porównali nasze zasługi dla ojczyzny i bliźnich.
5. Tym samym pozdrowieniem kończyłem moje listy kierowane do równych Państwu i Państwa przełożonych, tak samo pozdrawiałem policję państwową w Koszalinie. Proszę więc, nie bądźcie bardziej skrupulatnymi niż inne władze i Wasi przełożeni i bardziej policyjni niż policja.
6. Zgodnie z zapisami konkordatu, tj. również ze słowem Führera, każdy katolik ma przyrzeczoną wolność religijnego postępowania. Dlatego jestem dumny z sutanny – uniformu kapłana i z pozdrowienia katolickiego, tak jak Państwo jesteście dumni ze swoich mundurów i Waszego pozdrowienia. Mam co najmniej tyle samo odwagi, co Państwo, aby nosić swój uniform i głosić swoje pozdrowienia.

Str. 29

Jeżeli w dalszym ciągu będziecie Państwo odrzucać informacje podczas nabożeństwa, wówczas będzie to godne ubolewania i będzie działać na szkodę katolików, których praktyki religijne zostaną osłabione, a żyjemy przecież w państwie chrześcijańskim. Tę naszą korespondencję przekażę do wiadomości moim władzom biskupim, pytając równocześnie, czy powinienem zająć inne stanowisko.

Szczęść Boże²

Z tą samą energią i skrupulatnością, które przemawiają z tego pisma, podchodził wikary Froehlich do wszystkich trudności i przekroczeń kompetencji, które spotykały go w wielu nowoutworzonych obozach służby pracy i ośrodkach wychowawczych w okręgu Drawskim. Wkrótce odmówiono mu możliwości przekazywania informacji podczas odprawiania nabożeństw w obozach i ośrodkach wychowawczych, a wkrótce stało się niemożliwe branie udziału w nabożeństwach. Również sposoby organizacji niektórych obozów, a także szczególnie specyficzne pojmowanie i metody kierowania obozami musiały przysparzać mu wielu zmartwień. Wręcz po ojcowsku zajmował się niektórymi osobami spośród zatrudnionych w obozach, aby wzmacniać ich w wierze katolickiej i chronić.

Pisma z zażaleniami, które wysyłał do różnych służb pracy Rzeszy, tworzyły pełną teczkę akt.

I tak, 26 marca 1935 r., zwrócił się do Służby Pracy Rzeszy (RAD) w Złocieńcu składając zażalenie, że w „Dniu Pamięci” katolicy robotnicy zostali zaprowadzeni na ewangelicką mszę, a katolickie dziewczęta z obozu RAD w Mieleniu Drawskim musiały uczestniczyć w obchodach ku czci Hindenburga, uczestnicząc w ewangelickiej mszy.

2 Heine Kuhn pisał w męczennikach z Biskupstwa Berlińskiego (1950 Berlin) odnośnie tego listu na stronach 179-180: „Było widać czarno na białym, że ten nieugięty, odrzucający każdy kompromis i podobny z charakteru do rektora Lichtenberga ksiądz z Drawska, który po przejściu władzy przez „rasę panów” Trzeciej Rzeszy prędzej czy później wejdzie z nimi w zatarg. Szczególnie, że w małym mieście i na nizinie, obserwacja niektórych była łatwa do prowadzenia i dlatego różnice były szczególnie widoczne. Osiem lat, które obejmowały kapłańską działalność Froehlicha w czasach nacjonalizmu, były okresem nieprzerwanego pasma potyczek z władzami nazistowskimi, Gestapo i innymi instancjami partii NSDAP. Forma w jakiej Froehlich starał się zamazywać te różnice odpowiada ówczesnemu, impulsywnemu charakterowi dawnego oficera, co zostało może bardziej wyraziście opisane piśmie, które on skierował do grupy robotczej Rzeszy w Połczynie w dniu 23 września 1935 r.”

Str. 30

8 kwietnia 1935 r. napisał do tego samego miejsca prośbę o ponowne zbadanie i ostateczne stanowisko w sprawie tych zajęć, w innym przypadku miał on przy kolejnych przekroczeniach kompetencji wzywać do nieposłuszeństwa.

29 czerwca 1936 r. zajął się w piśmie do RAD w Złocieńcu sprawą teologa z obozu w Złocieńcu, którego dobitna prośba o urlop, w celu uczestnictwa we mszy świętej, została określona przez kierownictwo obozu jak sabotaż. Jednocześnie skarżył się na niestosowną graniczącą z nieprzyzwoitością natrętność niektórych towarzyszy podczas badania lekarskiego tego teologa.

16 lipca 1936 r. wziął w obronę tego samego robotnika, obwinionego na podstawie nieprawdziwych informacji, skarżył się też na ciągłe utrudnianie robotnikom uczestnictwa w niedzielnej mszy św. i prosił o osobistą rozmowę, aby te trudności usunąć.

20 lipca 1936 zwrócił się po raz trzeci pod ten sam adres, zaprotestował energicznie przeciw zarzutowi, jakoby mieszał się sprawy obozu i wstawiał się za teologiem. Poprzez osobistą, odważną rozmowę udało mu się w końcu wyjednać nie karanie teologa.

Gdy podczas nabożeństwa w obozie w Ostrowcu wikary Froehlich podczas kazania przeszedł od czytania do wypowiedzi i wśród wydawnictw wrogich wierze wymienił również „Mit 20-go wieku” A. Rosenberga, kierownik obozu przerwał mu i zabronił mu ataków na organizację obozu. Wikary nie chciał tolerować tego zakłócenia nabożeństwa i po zakończonej mszy św. pouczył kierownika obozu o jego prawach i obowiązkach. To przykre zajście nie miało wprawdzie dalszych następstw, jednak kolejne nabożeństwo w tym obozie nie doszło już do skutku..

Już jego pierwsze pisma do Służby Pracy Rzeszy (RAD) przyczyniły się do tego, że pod koniec kwietnia 1935 r. był przesłuchiwany przez Gestapo w Koszalinie. Po protokolarnych zapisach, Gestapo wypytywało go, czy „to rzeczywiście jest coś złego, gdy katolicy biorą udział w

nabożeństwie ewangelickim”. Wikary Froehlich odpowiedział, że złe jest to, gdy katolicy są powstrzymywani od spełnienia ich niedzielnego obowiązku uczestnictwa we mszy św. Przez udział w nabożeństwie ewangelickim nie mogą oni spełnić w pełni swojego obowiązku. Utrudnieniem jest przy tym okoliczność, że są oni zmuszani do uczestnictwa w obrzędzie ewangelickim. Na kolejne pytanie, czy wykona on swoją groźbę i będzie wzywał do nieposłuszeństwa, Froehlich odpowiedział zgodnie z prawdą: „w takim wypadku, gdy zdarzyło się, że katolicy w obozie w Mieleniu Drawskim zostali doprowadzeni na nabożeństwo ewangelickie, tak uczyniłem.

Str. 31

Odmówiono posłuszeństwa. W powyższym przypadku (Złocieniec) będę w odpowiedniej okoliczności dalej tak czynił”. Tą wypowiedzią wprowadził Gestapo w osłupienie. Powiedziano Froehlichowi z zakłopotaniem: "Jako proboszcz ma pan do tego prawo."

Gdy ta próba zastraszenia okazała się nieudana, wikary Froehlich zaczął być baczniej obserwowany przez Gestapo. Prawie nic nie mogło ujść ich czujnemu oku, nie tylko kościół, ale także plebania uznana za ognisko "antypaństwowej reakcji". Katolicy robotnicy gromadzili się tu w wolnym czasie i podczas urlopu, szczególnie znajdujący się wśród nich teologowie. Oni przychodzili i wychodzili z plebanii, uczestniczyli w spotkaniach i nocowali tam.

Nie było to więc tak zdumiewające, gdy 13 marca 1937 dwaj urzędnicy Gestapo, główni wachmistrzowie policji Meissner i Schwarzwaller z Drawska, zjawili się na plebanii i poinformowali, że księgowość parafii musi zostać poddana dokładniejszemu sprawdzeniu. Aktywność tej kontroli zmieniała się, a wkrótce wyszły na jaw prawdziwe zamiary tych panów: wciągnąć wikarego do rozmowy i nakłonić go do obciążających go wypowiedzi. Rozmowa połączona ze sprawdzaniem ksiąg trwała od godz. 9.00 wieczorem i ponownie od północy. Mówiono o napiętych stosunkach pomiędzy kościołem i państwem i sprowadzano rozmowę również na wrogie nastawienie do kościoła określonej części niemieckiej prasy. Rozmowa była prowadzona w uprzejmy sposób. Wikary nie spodziewał się stąd żadnej zasadzki i był wielce zdumiony, gdy wkrótce dowiedział się, że obydwaj urzędnicy złożyli na podstawie jego

wypowiedzi zawiadomienie o popełnieniu przez niego przestępstwa.

Po pewnym czasie Froehlich został wezwany na policję do protokolarnego ustalenia jego wypowiedzi, a nieomal rok później, gdy już był proboszczem w Rathenow, dostał bez żadnych sądowych negocjacji nakaz karny sądu okręgowego w Drawsku na kwotę 400 Marek Rzeszy Niemieckiej. Został obwiniony o to, że w stosunku do redaktorów „Czarnego korpusu” i „Szturmowca” wysuwał stwierdzenia, które nie były sprawdzone, które miały ich zniesławiać”. Froehlich powiedział mianowicie: „Szczególnie w „Czarnym korpusie” i „Szturmowcu” nie można doszukać się różnicy, jeżeli chodzi o sposób walki religijnej, jest ona tego rodzaju, jakiego używali komuniści i bolszewicy.”

17 lutego 1938 Froehlich wniósł sprzeciw przeciwko temu nakazowi karnemu argumentując to osobliwym postępowaniem obydwu urzędników, w świetle § 193 kodeksu karnego powołał się na ochronę własnych, uprawnionych interesów i przedstawił dowód prawdopodobności na jego twierdzenie.

Str. 32

Odwołał się do nr 47 „Szturmowca” z listopada 1936 i nr 11 „Czarnego korpusu” z 1937 r., w których treści i obrazach zawarte było zniesławienie kapłana i zakonu, bluźniercze treści o najświętszym sakramencie, a w nagłówkach artykułów pisano: „Sensacyjna wiadomość o Papieżu: gotowy do akcji z Moskwą”, „Zaskakujące wiadomości bożonarodzeniowe dla Moskwy”, „Nowi sprzymierzeńcy Watykanu”, „Papież chwyta dłoń komunistów”, „Front narodowy - pochlebstwa dla Watykanu - czerwone życzenia świąteczne z Rzymu”, „Papież ujmuje czerwoną pięść” i inne.

Swoim sprzeciwem Froehlich spowodował, że sąd okręgowy dla Stargardu w postanowieniu z 5 maja 1938 r. zaniechał postępowania karnego przeciw duchownemu, na podstawie prawa wolnościowego z 30.04.1938 § 2.

Str. 33

PROBOSZCZ Z RATHENOW

1 lipca 1937 August Froehlich został przeniesiony jako proboszcz do Rathenow. Tym samym spełniło się jego życzenie o większej społeczności Diaspory, bardziej stacjonarnym życiu religijnym. Nowa społeczność liczyła 2.000 katolików, których większość zamieszkiwała w Rathenow. Nowy duszpasterz życzył sobie od nich większego udziału w nabożeństwach, szczególnie w ciągu tygodnia i uregulowanego życia gminy, a od siebie bardziej skutecznego działania w winnicy Pana. Miał on do pomocy kapłana, a na miejscu znajdowały się katolicka szkoła prywatna i zakon żeński, to oczekiwanie nie okazało się bezpodstawne.

Odciążenie od pracy nie przyniosło wprawdzie proboszczowi nowych obszarów działania. Tak jak w Drawsku, tak również w Rathenow urządził nowe ekspozytury. Nabożeństwa w niedzielę zawieszono w Premnitz, Buschow, Nennhausen, Rhinow i Kotzen. Proboszcz i wikary zmieniali się przy tym tak samo jak przy podziale, w prowadzeniu lekcji w ekspozyturach. Dużą wagę położył proboszcz na planowane odwiedziny w domach. Do tego dochodziło dużo pracy administracyjnej, szczególnie trosk przysparzały mu stan konstrukcji kościoła i sytuacja finansowa. Nowe zadania wzrosły przez rozwój rodzimej produkcji w Rathenow, do której w dużej liczbie przyjmowano katolickich robotników ściągniętych z zagranicy. Plebania w Rathenow była jeszcze bardziej żywa niż w Drawsku. Jednego ucznia Froehlich wziął ze sobą z Pomorza. Przyłączył się do niego drugi, dla którego jeszcze nie znalazło się miejsce pobytu. Proboszcz postanowił nawet przygarnąć na plebanię czteromiesięczne dziecko, którego nikt nie chciał wziąć do siebie. Ponieważ wystąpił o utrzymanie trojga dzieci, zgodnie z przepisami prawnymi mógł skorzystać ze zniżek w podatku i był dumny, że taka adnotacja znalazła się na jego karcie podatkowej. Do stałych mieszkańców plebanii można zaliczyć ubogą siostrę zakonną, która pracowała jako nauczycielka w szkole. Do tego zwykle dochodziło wielu duchownych, którzy na dłuższy czas pozostawali gośćmi proboszcza. Poza tym plebania była miejscem, do którego przybywało wielu okazjonalnych gości. Grono gości przy stole proboszcza wyrażane było najczęściej dwucyfrową liczbą.

Sprawiło mu radość, gdy mógł pomóc innym. Wdzięczność jego dawnych parafian na Pomorzu umożliwiała mu okazywanie wspaniałomyślności i gościnności także później, już w czasie wojny.

Str. 34

Jeżeli proboszcz Froehlich miał nadzieję, że w Rathenow będzie mniej narażony na szykany ze strony narodowosocjalistycznych instancji partyjnych, wkrótce spotkało go rozczarowanie. Nie było dobrym znakiem, gdy zarząd okręgowej administracji szkolnej w Poczdamie rozwiązał w dniu 1 kwietnia 1938 r. prywatną szkołę katolicką, na podstawie liczącego 99 lat rozporządzenia. Tym samym pozbawiono proboszcza jednego z najbardziej wartościowych obiektów duszpasterstwa. Ale to był zaledwie wstęp do dalszych przedsięwzięć, które dotyczyły proboszcza Froehlich.

Wkrótce nastąpiło pierwsze wezwanie na Gestapo. 15 maja 1938 r. proboszcz podczas kazania w Rhinow wezwał wiernych do wypełniania niedzielnego obowiązku i zwrócił się przy tym przeciw przedsięwzięciom państwowym, które szkodzą wierze i wolności sumienia katolików i utrudniają im praktykowanie obrządków religijnych. Zaprotestował także przeciw propagandowemu zwalczaniu obyczajów, skierowanemu przeciw duchowieństwu i ludziom religijnym. Ponieważ w Diasporze, wroga kościołowi propaganda i utrudnianie życia duchowego, rozwijały się dużo bardziej niż w zamkniętych kręgach katolickich, proboszcz miał zamiar wzywać gromadę swoich wiernych do wierności wobec kościoła i do wypełniania religijnych powinności.

Po przesłuchaniu proboszcz Froehlich wysłał w dn. 15 sierpnia 1938 r. treść kazania zakwestionowanego i określanego, jako antypaństwowe do policji państwowej w Poczdamie i uzupełnił ją objaśnieniami, które jeszcze ostrzej przedstawiły podłoże jego kazania. Jego wywody pozwalają przedstawić na konkretnych przykładach walkę narodowego socjalizmu z kościołem. Można je odczytać w następującym fragmencie:

"Wrogość, także w naszej ojczyźnie przeciwko kościołowi. Kto chce w to wątpić? *Przypomnę tylko smutne zdarzenie ostatnich dni. Demonstracje przeciw biskupowi Rottenburga. W jego*

własnej kaplicy, klęcząc przed Najświętszym Sakramentem, był on nagabywany przez osobników, którzy w naciągniętych na głowy czapkach i papierosami w zębach gwałtownie wdarli się do kościoła. Gdyby takie fakty były znane za granicą..., wówczas zaszkodziłyby obrazowi Niemców bardziej niż straszne bajki emigrantów.... Jeżeli jednak chrześcijanie, katolicy za granicą usłyszą słowa Biskupa: "Jeżeli uczyniłem coś niewłaściwego, wówczas powinno osądzić mnie prawo i przepisy, ale nie ulica", a wówczas pytają: Jak coś takiego jest możliwe?...” Nie rozumiem, jak można z jednej strony być tak delikatnym, aby postrzegać delikatne naciski, nietakty, a jednocześnie z drugiej strony nie rozpoznawać i nie widzieć najcięższych ataków wobec kościoła, lub nie widzieć, co wg mnie bardziej może szkodzić życiu niemieckiego narodu niż źle zrozumiane kazanie.

Str. 35

Uczestnictwo we mszy św. jest tu, w Diasporze często utrudniane katolikom, Chcę tu przytoczyć tylko niektóre przypadki, które dotyczą mieszkańców ośrodków wychowawczych i obozów. W mojej poprzedniej wspólnotcie, zamknięci w jednym obozie pracy mieszkańcy zostali zaprowadzeni na mszę ewangelicką, a ci, którzy wyraźnie tego nie chcieli zostali do tego skłonieni. Moim protestem zajmowało się wówczas Gestapo w Koszalinie. Urzędnik powiedział mi, że musiało zajść nieporozumienie. W kobiecym obozie pracy, kobiety katolickiego wyznania odmówiły otwarcie posłuszeństwa, gdy chciano je zaprowadzić na ewangelickie nabożeństwo. Gdy spytałem kierowniczkę obozu, co właściwie chciała osiągnąć swoim rozkazem, powiedziała mi, że chciała kształtować ducha wspólnoty. Powiedziałem jej ze śmiechem: takiej religijnej wspólnoty w wierze nie mamy w Niemczech niestety od 400 lat. Razem z ewangelickimi chrześcijanami mamy wspólnego Chrystusa, syna bożego i główne przykazanie miłości. Naprawdę wystarczająco, aby, jak to pokazała wojna światowa, walczyć ramię w ramię, i wystarczająco, aby w obozie pracy pracować wspólnie ręka w rękę. W ośrodku wychowawczym dzieci zostały zaprowadzone na ewangelicką mszę i musiały w niej aktywnie uczestniczyć śpiewając, chociaż ośrodek był prawie całkowicie zamieszkały przez dziewczęta o wyznaniu katolickim. Na mój protest nauczycielka odparła, że widzi tu słabość kościoła katolickiego, jeżeli on tak boi się o swoich wiernych. Powiedziałem jej: proszę włączyć na terenie całego obozu audycję radiową z Moskwy i proszę słuchać. Jestem przekonany, że wiedzą już państwo, co potem się stanie. Dlaczego państwo niemieckie zabrania słuchania audycji z Moskwy? Bo widzi w

bolszewizmie na każdym kroku polityczną herezję i nie ma zaufania do nikogo, o ile nie ma on możliwości rozpoznania tej herezji w każdym punkcie. Państwo boi się jego szkodliwego wpływu. Coś podobnego robił już dawno kościół. Zakazuje on uczestnictwa w niekatolickich nabożeństwach, ponieważ każda niekatolicka nauka jest religijną herezją, ponieważ kościół nie dowierza nikomu, kto nie ma możliwości osądzić, co jest prawdą a co fałszem. W innym obozie kierownik usprawiedliwiał się przede mną osobiście z nie pojawienia się chłopców na nabożeństwie: „Chcieliśmy zaprowadzić chłopców do ośrodka dla dziewcząt, aby mogli przyzwyczaić się do dziewcząt. Oni są zbyt niespokojni.” Powiedział mi dalej, ... jak młode dziewczęta czatują na chłopców przed ośrodkiem.... Te kropki pokazują, że mam prawo, wskazywać na trudności z uczestniczeniem w nabożeństwie.”

Cytuję z pamięci z pisma naszego biskupa do ministra sprawiedliwości: Nie proszę, jako biskup, lecz jako Niemiec, w interesie niemieckiego narodu proszę położyć tamę propagandowemu wykorzystywaniu procesów obyczajowych.

Str. 36

Z około 26.000 kapłanów na świecie, z tego tytułu zostało skazanych 111 księży, a więc nawet nie 0,5%. W przypadku osób zakonnych jest podobnie. Jeżeli chodzi o braci zakonników ten odsetek jest nieco wyższy. Te uchwycone przypadki rozciągają się jednak na wiele lat. Biskup podaje kilka cyfr odnośnie kar za homoseksualne przestępstwa, a mianowicie w wielu krajach Niemiec w jednym roku 100-500 osób, w Hamburgu nawet ponad 1.000 osób zostało ukaranych za przestępstwa homoseksualne. Pierwszy prokurator, mówi biskup, podaje w wykładzie, że tylko w Berlinie żyje około 200.000 homoseksualistów. Te krótkie informacje pokazują, że przestępstwa przeciwko obyczajowości nie są chorobą księży, natomiast inne kręgi Niemców są objęte tą zarazą. Jak bardzo musi urażać kręgi katolickie, kiedy trzeba czytać i słuchać o tym: tysiące, tak, tysiące księży uchybiło moralności; a jest to ułamek wychwyconych przez prawo przypadków. Czy ksiądz katolicki nie ma prawa i obowiązku, aby mówić swoim wiernym prawdę? Czy kościół katolicki nie ma honoru? Czy nie muszą się za nim ująć?

Moje kazanie, było, jak powiedziano mi podczas przesłuchania, osobliwe. Zawsze staram się, aby

moje kazania nie były powieleniem starych stereotypów, ale aby mówić żywo i żarliwie. Dzięki temu można wpłynąć na osoby innej wiary, albo szczególnie na „wierzących w Boga”. Na to użala się już Św. Paweł, gdy mówi: „My wielbimy Chrystusa, Ukrzyżowanego, w Żydach budzi to irytację, dla pogan jest to głupotą, a dla nas najwyższą prawdą. Tajemnice religii są dla naszych przeciwników również często tajemnicą, dla nas jednak są oczywistą, jasną prawdą. Jest dlatego zrozumiałe i również dlatego bolesne dla nas, gdy nawet minister Kerrl powiedział pewnego razu: to jest śmieszne, mówić o bożym synostwie Chrystusa. Nie jest nam do śmiechu, traktujemy to z głęboką powagą. Dlaczego nie miała mnie również nie zrozumieć kierowniczką ośrodka dla dziewcząt. Według mnie, również, kierowniczką miała obowiązek, aby zaprowadzić dziewczęta na mszę, ale nie kontrolować mojego kazania. Jeżeli mimo to, wykazała zainteresowanie moim kazaniem, chętnie dałbym jej sposobność, aby mogła spytać mnie o nasze tajemnice. Podczas mojego przesłuchania porównywano zebrania agencji pomocy narodu niemieckiego WHW i uczęszczanie na nabożeństwa. Ojczyzna jest czymś konkretnym, Bóg – abstrakcją. Dla nas nie! Dla nas Bóg jest jak najbardziej konkretny, istotą, która stworzyła wszystko inne, Bóg nie jest dla nas starszym mężczyzną z długą brodą, który patrząc przyjacielsko ukochanymi oczyma i poruszając złotym berłem przesuwając gwiazdy. Dla nas Bóg jest duchem, rozumem i wolną wolą, ale nie ma ciała, który w swoich trzech osobach jest namacalny i oczywisty; tak w Chrystusie, który był człowiekiem, a więc był i jest postacią konkretną.

Str. 37

Również on jest istotą boską, nie abstrakcją, ale konkretem. Jeżeli on rozkaże, wówczas my mamy słuchać i być posłusznymi. On dał nam polecenie: „Idźcie i nauczajcie, chrzćcie wszystkich ludzi w moim imieniu.” To chcę wyrazić w moich kazaniach i robię to również teraz.”

Była to więc nie tylko treść jego kazania, która pobudziła impuls, natomiast również metoda, w jaki sposób głosił kazanie, aby można było je przyjąć do siebie. Metoda głoszenia kazań była rzeczywiście swoista. Posiadał on dar elokwencji, pozwalający mówić mu tak samo prosto jak przenikliwie, a przede wszystkim jasno i zajmująco. Przekaz jego słów poszedł tak daleko, że stawał się czasami nawet drastyczny. Sięgał ciągle do przykładów z życia codziennego, jak na przykład udowadniał porównania zebrania agencji pomocy narodu niemieckiego WHW z

uczęszczaniem do kościoła na nabożeństwa. Młodzież męska mieszkająca w ośrodku nie mogła pójść na nabożeństwo, ponieważ musiała uczestniczyć w zebraniach WHW. Szef ośrodka uważał takie postępowanie za działanie chrześcijańskie, ksiądz nie mniej, ale nie było to żadną namiastką niedzielnej mszy. „Przyjmijmy”, tak mówił Froehlich, „że rozlegnie się nagle okrzyk: „Nadchodzi Führer!””. Wszystko zostanie szybko odłożone na bok, aby zobaczyć i przyjąć Führera, W niedzielę, dzień pański, swoje przyjście w kościele, na ołtarzu zapowiedział Bóg, Chrystus. My musimy wszystko odłożyć na bok, aby godnie przyjąć Chrystusa, naszego Pana.”

Przy tak nieustraszonej postawie Froehlicha nie mogło stać się inaczej, jak tak, że narodowi socjaliści podniosą przeciw niemu zarzut wrogości wobec państwa, Pierwszy raz stało się to przez głównego nauczyciela w Rhinow. Jako ksiądz, Froehlich na prowokacyjne przywitanie nauczyciela: „Heil Hitler” podczas nabożeństwa dla wiernych w tamtejszej szkole, odpowiedział „Szczyście Boże”, na to tamten krzyknął: „Pan jest wrogiem państwa”.

Proboszcz natychmiast pochwycił ten zarzut i zażądał w piśmie z 19 stycznia 1939 r., skierowanym do Burmistrza Rhinow, aby albo uznać go za wroga państwa, albo pociągnąć nauczyciela do odpowiedzialności z powodu jego niewłaściwego zachowania. Zwracał w piśmie szczególną uwagę na to, że jego powitanie było chrześcijańskim wyznaniem wiary, a nie żadnym aktem „wrogości do państwa”, tak samo jak on w powitaniu „Heil Hitler” nie podejrzewa otwartej „Wrogości do Boga”. W długich wywodach przedstawił swoje argumenty na wybraną formę pozdrowienia, przeszedł następnie do zasadniczego postępowania chrześcijanina i jego stosunku do państwa, oświadczając na zakończenie, że prawdziwy chrześcijanin nigdy nie może być wrogiem państwa, a już najmniej w państwie, które się samo określa jako „przyjazne chrześcijaństwu”.

Str. 38

Głębszym powodem do tego pisma nie była obraźliwa wypowiedź nauczyciela, natomiast groźba, którą zakomunikował proboszczowi po zakończeniu nabożeństwa: "To było ostatnie nabożeństwo w szkole!" Proboszcz odwołał się do ministerialnego rozporządzenia, które określało, że nabożeństwa nie powinny odbywać się w gospodach lub temu podobnych

pomieszczeniach. To nie pasuje bowiem do sakralnej godności odprawiania nabożeństwa. Nabożeństwa powinny się odbywać w pierwszej linii w przeznaczonych do tego celu szkołach. Froehlich zauważył odnośnie tego miejsca przeznaczenia: „Kierownicy pozytywnie chrześcijańskiego państwa nie mogą mówić, co można twierdzić o Żydach, gdyż w Piśmie świętym stoi: „nie było dla niego wolnego miejsca w gospodzie”.”

Burmistrz stał przed niełatwym zadaniem: Nie miał wprawdzie pisemnej odpowiedzi - mógł więc załagodzić incydent, gdyż ani proboszcz Froehlich nie okazał się wrogiem ludu, ani nie spełniła się groźba nauczyciela, w szkole nadal odprawiało się nabożeństwa.

Wybuch wojny warunkował dla proboszcza i plebanii daleko idące przestawienie codziennego życia. . Mieszkańcy plebanii zostali w niej, do tego codziennie na plebanię przychodzili żołnierze i sprowadzali tam swoich krewnych, którzy przybyli do nich w odwiedziny. Na Wielkanoc 1940 na plebanii przebywało nie mniej niż ośmiu obcych gości.

Wojna przyniosła także zaostrzenia, i tak już napiętej sytuacji politycznej. Dla proboszcza Froehlicha oznaczało to szczególne trudności, ze względu na licznych robotników katolickich z zagranicy, którzy zostali zmuszeni do pracy w przemyśle w Ratenow. W obszarze parafii Rathenow było zatrudnionych 2.000, a w samym Rathenow kilkuset polskich robotników. Czy mógł on odmówić im pocieszenia ze strony Kościoła i ludzkiej pomocy? Narodowo-socjalistyczne państwo żądało od nich bowiem również zmiany postawy dotyczącej życia duchowego. W tym duchowym konflikcie pomiędzy miłością chrześcijańską i obowiązkiem duszpasterskim nie było dla proboszcza Froehlicha żadnego wahania: postępował zgodnie z boskimi przykazaniami, jako kapłan swojego Kościoła, a równocześnie szedł za głosem swojego serca. Nie byłby proboszczem Froehlichem, gdyby nie pomagał udrczonym ludziom. Zachowywał się serdecznie, udzielał im dobrych rad, płynących z współczującego serca i wstawiał się za nimi energicznie i odważnie tam, gdzie działo się widoczne bezprawie.

Str. 39

Dziesięć przypadków złego traktowania, stwierdzonych przez Froehlicha zgłosił on do właściwego urzędu pracy albo pracodawcy, prosząc o zaprzestanie takich praktyk. Sześć z tych

przypadków załatwił pisemnie, cztery podczas osobistych rozmów. Jego trzykrotne zaangażowanie wobec losu prześladowanych polskich dziewcząt zatrudnionych w optycznej firmie Busch w Rathenow miało stać się jakoby przyczyną jego późniejszych problemów.

Bez dwóch rozdziałów: W więzieniu i obozie koncentracyjnym, Śmierć

KONIEC

Annette Froehlich

PROBOSZCZ AUGUST FROEHLICH

**OD WALKI PRZECIWKO NARODOWO-SOCJALISTYCZNEMU
DESPOTYZMOWI DO LOSU MĘCZENNIKA**

Wspomnienia z dzieciństwa (str. 81-84)

Nie jest mi dzisiaj łatwo napisać coś o moim wuju Auguście, albowiem moje osobiste wspomnienia związane z jego osobą sięgają pięćdziesięciu lat wstecz. Było to bowiem w pierwszym roku wojny, gdy on po raz ostatni wpadł do nas, albo lepiej powiedziawszy „przybył do domu” aby jeszcze raz odwiedzić grób swoich rodziców na cmentarzu przy naszym kościele św. Barbary. Ze mną, a miałem wówczas 16 lat, zamienił tylko kilka zdań. Chciał zapewne porozmawiać dłużej, ale co można wyrazić w krótkiej rozmowie z kimś, kogo widuje się bardzo rzadko. Czego życzył mi przy pożegnaniu, nie mogę dzisiaj sobie przypomnieć. Tamten czas był bowiem również dla mnie zbyt burzliwy. Rozmowy poważniejszego rodzaju, które chcielibyśmy prowadzić zarówno on jak i ja, były odraczane „na później”. Nie wiedziałem wówczas, że to „później” stanie się nieprawdopodobne. Myślę, że jakoś miało się zamiar, aby później go odnaleźć i móc z nim porozmawiać.

Aby jednak, mimo wszystko, nakreślić wspomnienie jego postaci - które będzie moim osobistym spojrzeniem na jego postać - chciałbym przedstawić obraz społecznego otoczenia, które, według mnie, odcisnęło na nim swoje piętno i oddziaływało na niego. Uczynię to na podstawie zasłyszanych przeze mnie opowieści, w oparciu o dokumenty i własne przeżycia.

Urodził się on w ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego stulecia, które dziś określa się chętnie mianem „złotego wieku”, 26 stycznia 1981 r. w sercu rozkwitającego obszaru przemysłowego

Górnego Śląska, w Königshütte (Chorzowie). Ten obszar od połowy XIX wielu uważano jako rejon, w którym własną pracą, nie zawsze szybko, ale za to na pewno można otrzymać pracę i chleb, i dlatego w krótkim czasie osiedliło się tam wiele ludzi.

Prawdopodobnie również z tego powodu mój pradziadek Johann Froehlich (pisał jeszcze wówczas swoje nazwisko „Fröhlich”) zdecydował się, aby swojego nieco później urodzonego, ostatniego syna Antona, po skończeniu przez niego szkoły, wysłać z Königsdorfu koło Leobschütz (Głubczyc) po dalszą naukę właśnie tam. Zawarł w tym celu z żydowskim właścicielem młyna, zwanego później „Pierwszym Chorzowskim Młynem Parowym” umowę o naukę zawodu księgowego dla swojego syna, w której określone zostały również koszty i warunki utrzymania. Jednak w tym przypadku okazało się, że ta sprawa jeszcze długo nie była dla mojego pradziadka ostatecznie załatwiona. Pełnił on mianowicie czasowo również funkcję burmistrza w swoim rodzinnym Königsdorf, i z tego powodu musiał pojawiać się częściej w młynie, aby sprawdzać przestrzeganie prawa. Nie spodobało mu się bardzo, gdy pewnego razu, przy jakiejś wizytacji odkrył, że jego syn, zamiast, jak uzgodniono - a za wykształcenie ucznia płacono wówczas czesne - stać za pulpitem księgowego, musiał zamiatać ulicę. Wziąwszy pod uwagę, że mój dziadek pracował jednak wiele lat w tym młynie, a później nawet został jego właścicielem, można się domyślać, że wzajemne rozmowy doprowadziły szybko do porozumienia i korzystnego rozwiązania tego problemu.

Parę lat później przed moim dziadkiem pojawiły się inne problemy. Młody księgowy zbyt często przechodził koło domu na początku Bismarckstrasse, z którego również zbyt często wyglądała młoda dziewczyna. Taki stan nie podobał się przede wszystkim pani tego domu, żonie urzędnika zatrudnionego w hucie, która przyjęła do swojego domu tą właśnie dziewczynę o imieniu Johanna. Jaką pozycję zajmowała dziewczyna w tym domu, tego nie wiem, ale prawdopodobnie była „córką domu” u bezdzietnego małżeństwa. Jej matka miała ponad 15 dzieci pochodzących z dwóch małżeństw i była bardzo zadowolona, że umieściła tam swoją córkę. Była ona tam pod dobrą opieką, podczas, gdy również drugi mąż tej kobiety pracując jako górnik nie przynosił do domu zbyt wiele pieniędzy.

Tak, jak to bywa w przypadku kobiet, które nie mają własnych dzieci, pani domu - żona urzędnika zatrudnionego w hucie skrupulatnie zważała na to, żeby wszystko szło we właściwym kierunku. Miała również jakoś sprecyzowane poglądy na przyszłość swojej Johanny, tak, że obserwacja względem spacerującego młodzieńca zaczęła przysparzać jej troski. Należy tu jednak dodać, że mój dziadek, m.in. musiał przechodzić obok tego domu, aby na przykład w niedzielę iść do kościoła, ponieważ nie chciał chodzić bardzo zaśmieconą ulicą Wasserstrasse, która z kolei była drogą o kilka sekund krótszą.

Gdy żona urzędnika odpowiednio długo posiedziała samotnie nad „swoim problemem”, do głowy wpadł jej wspaniały, ale wówczas niezwykły pomysł. W następną sobotnie popołudnie żona urzędnika, która była wyznania protestanckiego (dobre stanowiska we władzach itd. były wówczas u nas przydzielane chętnie ewangelikom, chociaż wszyscy byli katolikami) poszła razem ze swoją przybraną córką do kościoła św. Barbary, aby się wypowiedzieć. Przed konfesjonalem ustawiła się przed Johanną, tak, aby będąc już u spowiedzi zwrócić uwagę księdza

na następną „grzesznicę”. Długo i dokładnie przedstawiała księdzu swój problem i troskę „matczynego serca” i prosiła go, aby „zmył głowę” Johannie. Co odpowiedział ksiądz tej biednej kobiecie, zostało w rodzinie przemilczane, ze względu na tajemnicę spowiedzi, natomiast więcej wiadomo z powodu zdziwienia „nowym dzieckiem spowiedzi” ze św. Barbary.

Ksiądz był mianowicie doświadczonym człowiekiem w takich sprawach, 25 lutego 1889 r. udzielił ślubu owej Johannie i jej Antonowi. W międzyczasie mój dziadek poprawił również swoją pozycję, został samodzielnym hurtownikiem mąki, nabył małe stabilne domki przy Placu Bismarcka nr 22 i 24 i objął młyn na ulicy Beuthenerstr. 34, w którym początkowo się uczył, a potem prowadził przez wiele lat, prawie aż do śmierci Hurtownię Mąki i Artykułów Kolonialnych.

Również jeżeli chodzi o życie rodzinne, życie przy Bismarkplatz 24 uległo zmianie, pięciu synów (jeden z nich zmarł w wieku dziecięcym) i jedna córka wnieśli do domu wiele życia, Podobnie jak kiedyś jego ojciec, tak samo Anton troszczył się o dobre wykształcenie swoich dzieci, wysłał je wszystkie - co wówczas nie było tak oczywiste i zawsze łączyło się z koniecznością opłaty czesnego - do gimnazjum. Jednak tylko jeden, mianowicie August, kontynuował naukę do matury, gdyż starszych fascynowało zbytnio życie i zajmowanie się pracą w młynie ojca, podczas gdy August, z różnymi sukcesami, pokonując poszczególne klasy doszedł aż do oficjalnego zakończenia szkoły. Mojemu ojcu klasy szkolne wydawały się nieodpowiednie do realizacji jego wielorakich zdolności i talentów, tak więc mój dziadek umieścił go od razu w szkole przygotowującej do nauki w seminarium nauczycielskim w Głubczycach, gdzie mógł też zamieszkać u krewnych. Zdany egzamin kończący seminarium nauczycielskie był wówczas ceniony o wiele niżej niż matura, czego mój ojciec nie mógł zboleć przez całe życie. Okres gimnazjalny młodszego syna zakończył się jego zgłoszeniem jako ochotnik do wojska w związku z wybuchem wojny, co wówczas było postrzegane jako coś oczywistego. Również jeden z braci mojej matki był ochotnikiem.

Fot. Str.83.: Furmanka konna hurtownika Antona Froehlich, Chorzów, Górny Śląsk przed 1 wojną światową, później zastąpiona przez samochód ciężarowy

Fot. Str. 84.: August Froehlich (z lewej) zdjęcie zrobione z okazji komunii jego siostry Klary, razem z jego matką i jego bratem Franzem.

Str. 86 - 89

Jak wiadomo, ta część Górnego Śląska, w której my żyliśmy, po wojnie, tj. po głosowaniu przypadła Polsce, tak więc mój wuj, który studiował teologię we Wrocławiu, z naszego punktu widzenia mieszkał „za granicą”. To miało później między innymi takie następstwo, że później został on umieszczony w Arcybiskupstwie Wrocławskim, które wówczas sięgało daleko do diaspory na Pomorzu, a nie do utworzonej w międzyczasie nowej diecezji katowickiej, co praktycznie wówczas jeszcze byłoby możliwe. Gdy on zapewne chciałby mieć u nas kazanie, byłoby to pewnie związane z formalnościami, dlatego zrezygnował z kazań w kościele św. Barbary. To było związane raczej z nowym układem politycznym niż z jego znajomością

polskiego, której nie mogę ocenić. Na pewno znał język polski, którym u nas mówiło się „na ulicy”, ponieważ musiał już jako młody chłopak porozumiewać się jakoś z kolegami z Placu Bismarcka, gdyż obszar ten był już dwujęzyczny. (Zresztą niemieckie msze odbywały się w kościele św. Barbary do 1937 r., roku, w którym wygasły niektóre ustalenia z okresu plebiscytu).

Aż do śmierci mojego dziadka, gdy miałem osiem lat, częściej nas odwiedzał, ponieważ mieszkaliśmy w dalszym ciągu w domu jego rodziców. Imponował mi ten wysoki mężczyzna w długiej czarnej sutannie z wieloma guziczkami. Zawsze, gdy proszony lub nieproszony wchodziłem do jego pokoju, modląc się naruszał swój brewiarz i aby uwolnić się ode mnie, dawał mi obrazek ze swojego grubego modlitewnika o złożonych brzegach. Niejednokrotnie pozwalał mi go również przeglądać. Poza tym nigdy nie otrzymałem od niego żadnego innego podarunku. Jednak wartość rzeczy, które czasem otrzymywałem od innych, nawet gdy była to czekolada lub cukierki, była dla mnie o wiele niższa od wartości tych świętych obrazków. O naszych rozmowach z tamtego okresu nie jestem w stanie nic więcej powiedzieć.

Ta idylla zakończyła się wkrótce po śmierci dziadka, gdyż wyprowadziliśmy się do mniejszego mieszkania na ul. Beuthenerstrasse, na terenie należącym do młyna. Również moja ciotka wyprowadziła się razem ze swoją rodziną do Niemiec, a starszy brat mojego ojca podążył wkrótce za nimi. Z tej oto przyczyny wuj August, który w międzyczasie pracował w nowo utworzonym biskupstwie w Berlinie, odwiedzał nas coraz rzadziej, ponieważ rodzina była rozproszona pomiędzy Saksonią, Berlinem i Górnym Śląskiem.

Z tego powodu również moje kontakty z nim były sporadyczne, ograniczone do losowych przelotnych spotkań. A po 1933 r. nie było zbyt dobrze, gdy było się zbyt gadatliwym przy dzieciach. Mądrzej było w wielu sprawach zachowywać milczenie. Pomimo to, z zasłyszanych rozmów i opowieści znałem na bieżąco jego dalsze losy, jednak niezbyt szczegółowo. I tak, np. gdy na początku 1942 r. byłem żołnierzem, wiedziałem, że wuj August znów jest w obozie koncentracyjnym. Coś takiego nie przysparzało wówczas dobrej reputacji dla mojej szkolnej lub wojskowej kariery. Mówiło się o tym tylko w wąskim gronie zaufanej rodziny. Nikt nie mógł albo nie chciał mu pomóc, poza jego siostrą, której mąż wbrew zwyczajowi, pomimo podeszłego wieku został wcielony do wojska. Jego niespodziewana śmierć w obozie koncentracyjnym wstrząsnęła jego braćmi, którzy na zewnątrz jednak paradowali „z duchem czasu”. I tak np. od teraz bardzo często wpinano w klapy marynarek odznakę partyjną, która dotychczas była schowana w szafie. Mój ojciec widział zmarłego w trumnie i prawie nie mógł go rozpoznać, ponieważ jego ciało było tak skurczone. Stojącemu obok strażnikowi miał on powiedzieć: „to był niemiecki oficer z ostatniej wojny”. Reakcja na to stwierdzenie nie jest mi znana. Później otrzymaliśmy niektóre rzeczy osobiste, takie jak zakrwawiona sutanna i różaniec. Podczas ucieczki w styczniu 1945 roku wszystkie te rzeczy zaginęły.

Z tego wszystkiego, co słyszałem o tym czasie (nic na ten temat nie napisano) powstało moje wyobrażenie o nim, jego obraz, który chciałbym porównać do drogowskazu. Do zwykłego drogowskazu, który stoi na rozstajach łąk i pól, gdzie krzyżuje się wiele dróg albo ścieżek. Drogowskaz, skromny w swoim wyrazie, konar, na którym przybito deskę oznaczającą drogę tylko w jednym kierunku, na której podany jest już na wpół zamazany odległy cel. Drogowskaz

pokazuje tylko jeden, jedyny kierunek, chociaż tam przebiega wiele dróg. Został on postawiony już bardzo, bardzo dawno. I jakkolwiek byłoby potrzebne wskazywanie w tym miejscu na kierunek odległej miejscowości, nikt nie miałby ochoty inwestować środków i czasu aby postawić taki drogowskaz w tej okolicy. Jeżeli ktoś przyjrzałby się dokładniej, stwierdziłby zdumiony, że wszystkie inne drogi rozwidlające się od drogowskazu są znacznie szersze i o wiele częściej uczęszczane niż ta droga, którą wskazuje drogowskaz. Ale drogowskaz pozostaje niewzruszony, nawet gdy ludzie w dalszym ciągu obierają inną drogę od tej, którą wskazuje drogowskaz. I tak ten znak drogowy stoi dalej na swoim miejscu, targany przez wiatr i zmienną pogodę, w dzień i w nocy, ponieważ może się zdarzyć, że pewnego dnia drogą będzie przechodził ktoś, kto zechce wybrać wskazywany przez drogowskaz kierunek. Byłoby zgubne, gdyby ramię drogowskazu wskazywało wówczas kierunek fałszywy albo gdyby go całkiem nie było. Nikt nie mógłby pomóc takiemu człowiekowi, ponieważ wielu innych wędrowców interesuje tylko kierunek ich rzekomego szczęścia. Mają nadzieję, że napotkają je wkrótce na pięknej, szerokiej drodze, którą przedstawia się im w różowych barwach i osiągnięcie której sprawia satysfakcję, a niekiedy jest opiewane jako powinność obywatelska. Wszystkich tych, którzy podążyli w kierunku wskazywanym przez drogowskaz, ludzie ci wyśmiewali szyderczym śmiechem. Byli oni jeszcze nieraz godni pożałowania w ich oczach.

Jednak w pewnym czasie taki drogowskaz, o czym się przekonano, miał za zadanie wskazywanie nowych i innych wartościowych życiowo celów tym, którzy szukają nieocenionych wartości. Jeżeli w „swojej wędrówce” trafiło się na innego szukającego, co wcale nie było zjawiskiem tak rzadkim, wówczas mówiło się o „takich drogowskazach” i próbowano podążać we wskazanym kierunku. Oficjalnie nie zabraniano nikomu iść w tym kierunku, a ponieważ przy tym „kręgom” ludzi, którzy „idą z duchem czasu” prawie nie przeszkadzano, skupiano się na tym, aby strzec tych „wiecznie opóźnionych”. Tylko wtedy, gdy sądzono, że należy liczyć się z szybkim rozwojem kariery, wówczas nieraz usuwano służalczo taki drogowskaz. Podczas takich akcji wierzono w dawną mądrość, że takiego typu drogowskazy posiadały nieoczekiwane zdolności do oddziaływania również wtedy, gdy nie istniały już w formie materialnej, przy czym ich wymowa była wówczas jeszcze dobitniejsza i bardziej przestrzegana.

Podpisany Erwin Froehlich, 1991

Zdjęcie str. 87

Wycieczka rodzinna Austro Daimlerem (prod. 1927, 6-cylindrowym) Antona Froehlicha (z przodu po lewej), ojca Augusta Froehlicha, z kierowcą (po prawej za kierownicą), jego bratem Emilem, szwagrem i siostrą Klarą i jej przyjaciółką w Beskidy, na południe od Krakowa, w dniu urodzin jego siostry Klary ok. 1929/30 r.